Bezpłatny dodatek do Nr 3 „Głosu Narodu"

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 1 | Kraków, niedziela, dnia 3 stycznia 1937 r. | Rok II

DR ZOFIA SCHMIDT

Adam Chmielowski — Brat Albert

Była zima roku 1916. Nadeszły święta Bożego Narodzenia — święta owego czasu wojny... Wtedy to, w grudniowym dniu 25 w Krakowie, przy ulicy Krakowskiej, pośród zaułków kazimierzowskiej dzielnicy, w Przytulisku umierał Brat Albert.

Dzwoniono właśnie tej chwili w niedalekim kościele Bonifratrów południową porą... Wtedy kończyło się życie, kryjące w sobie piękno i mękę poszukiwań, wiodących ku szczytom duchowym... Z niedalekich, niedawnych jeszcze, lat wyrasta postać tego przedziwnego człowieka, ukazując bogactwa i głębie psychiczne w coraz to nowej formie się wyrażające.

Młody chłopiec, bohatersko walczący w powstaniu styczniowym, z brawurową odwagą pełniący najtrudniejsze zlecenia swego wodza — to on, Adam Chmielowski.

Wybitny malarz, impresjonista, wyraźnie i odrębnie rysujący się w swej indywidualności artystycznej — to także on.

W latach dalszych szukający swej drogi chwilowo w zakonie Jezuitów, w zmaganiach ducha i męce wewnętrznej pogrążony — to znowu on.

I na Podolu objeżdżający wsie, by lud podnosić, oświecać, wiązać ideą franciszkańską, aby go mocnym uczynić na wszelkie ataki wrogów — to także on.

Człowiek, który oderwał się od możliwości danych mu, aby obcować w świecie najwybitniejszej elity intelektualnej, schylający się do najniższych mętów społecznych, by je otoczyć opieką i przywrócić krajowi, ten człowiek, co porzucił miłowanie sztuki, by służyć Bogu i misji społecznej — to znowu on, ale już wtedy nie Adam Chmielowski, tylko Brat Albert.

W POWSTAŃCZYCH WALKACH.

Gdy wybuchło powstanie r. 1863, Adam Chmielowski był uczniem szkoły rolniczej w Puławach. Tłumnie i szybko, zabrawszy tylko ekwipunek zakładowy, bez broni prawie poszli puławscy studenci, by stanąć w obozie Leona Frankowskiego. Jednym z pierwszych ochotników był Adam Chmielowski. Miał wtedy lat 17. Entuzjazm płonął w jego jasnych oczach. Pełni szlachetnych porywów młodzi puławscy żołnierze odnaleźli ten sam zapał w swoim dowódcy Leonie Frankowskim. Wątły i szczupły, niepozorny wyglądem zewnętrznym, posiadał w sobie głęboką wiarę i siłę. Nie lękał się braku przygotowania i walki z przemożnym wrogiem. Wątpiącym rzucał mocne słowa otuchy.

Po lasach kryli się polscy żołnierze. Tajnymi szli drogami ku punktom zbornym. Z trudem palili ogniska gasnące, bo wiatr wiał, zacinając deszczem, bo ciężka, wilgotna mgła zasmucała lasy. Po walkach męczących, po długich marszach kładli się na mokrej ziemi, z gałęzi drzew sączyły się krople deszczu.

Bezśnieżne były te pierwsze dni powstańcze, te dni końcowe stycznia 1863 r... Nieprzyjacielskie wojska rozbiły oddział Frankowskiego pod Słupczą. Dowódcę czekała niewola, a potem w Lublinie szubienica. Rozsypał się oddział...

Adama Chmielowskiego schwyciły wojska austriackie i osadziły w więzieniu w Ołomuńcu. Z więzienia wyrwał się po to, by wrócić w powstańcze szeregi. Stanął teraz pod komendą Zygmunta Chmielińskiego. Była wiosna. Szedł jej powiew od lasów i pól, zielenią okryły się drzewa, rozmokły drogi leśne. W świętokrzyskich lasach toczył walki z oddziałami swymi pułkownik Chmieliński. Adiutantem jego był Adam Chmielowski. Pośród strzałów nieprzyjacielskich, narażony na niechybne niebezpieczeństwo przedzierał się z rozkazami swego dowódcy. Z najcięższych posterunków wychodził cało, nietknięty, z nową odwagą stający do walki. Wrogowie wierzyli, że jakieś czary działają dokoła Chmielińskiego i jego adiutanta, że się ich kule nie imają. Tak widny z dala, białością konia się odcinający, stał przy swym dowódcy pod Trojaczyną. Dokoła nich, mimo ich uszu świstały kule nieprzyjacielskie. Na cel go brali uparcie i zawzięcie strzelcy finlandzcy. Bez lęku, nieustraszony narażał się na strzały. I znowu cały wychodził nietknięty. Wtedy to dowódca wysłał go z rozkazem dla oddziału, znajdującego się po przeciwnej stronie lasu... Szybko jechał drogą leśną. Nagle pod kopytami konia pękł granat. Adiutant ciężko ranny zsunął się na ziemię. Granat strzaskał mu nogę aż do kolana. W szpitalu polowym, rosyjskim amputowano mu ją. Potem tajemnie przed władzą rosyjską wywieziono go ze szpitala. A później, później — bohaterski adiutant o sztucznej protezie wyjeżdżał na studia za granicę. Dowódca jego już nie żył. Rozstrzelano go na rynku radomskim.

W PRACOWNI MALARSKIEJ.

„Wywierał na nas ogromny wpływ. Był najpierwszym wśród nas kulturą, wiedzą, charakterem, a kto wie, czy i nie talentem."

Leon Wyczółkowski.

Otoczyły go widoki zagranicznych miast. Widział Paryż. Studiował politechnikę w Gandawie. Potem wyjechał do Monachium. Wtedy zapragnął poświęcić się sztuce. Wchodził w nowe, odrębne życie, w malarski świat; wszystkie uroki i troski tego życia otwierały się przed nim. W monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych panowała swoboda, możność rozwoju dla różnych, odrębnych indywidualności i talentów, idących za różnorodnymi szkołami. Dyrektorem Akademii był Wilhelm Kaulbach.

W owym czasie w Monachium była spora garstka polskich malarzy: Maks i Aleksander Gierymscy, Józef Brandt, Stanisław Witkiewicz, Józef Chełmoński i inni... Raziło ich obcością i przyziemnością niemieckie miasto, więc stwarzali w nim własną, odrębną atmosferę. Nieraz z pogodą znosili ciężkie warunki materialne. Nieraz systematyczne, spokojne życie Niemców ożywiali ekstrawagancjami, niezwykłymi pomysłami i humorem. Atmosferę tego życia cyganerii artystycznej odtworzył St. Witkiewicz. Pisał, iż wpadali nieraz na pomysł, by „przejść na przykład w białej, krakowskiej sukmanie środkiem najludniejszych ulic, wykonać szalonego kozaka na przestrzeni kilkudziesięciu metrów trotuaru przed pomnikiem Schillera i uderzywszy kilka razy czołem w bruk, odejść, zostawiając za sobą skołowaciały ze zdumienia tłum Niemców".

Przewrażliwione natury artystów przerzucały się w zmienne nastroje; po chwilach wesołych wybryków porywała ich tęsknota za krajem, smutek i zniechęcenie. Toczyli długie dysputy, walczyli o nowe problemy w sztuce, o prawo do kolorystyki, najciekawszych zestawień barwnych plam, świateł i cieni, o nastrój.

I była tragedia tych naszych malarzy, tworzących sztukę nową dla Polski, tam na obcej ziemi walczących dla niej o prawa, że gdy najbardziej tęsknili za krajem, to wracając rozbijali się o bierność społeczeństwa polskiego.

W tę atmosferę monachijską wszedł Adam Chmielowski, wszedł w nią sercem, talentem i myślą, ale było go stać i na to, że wydobył z niej własny, odrębny ton. Pośród artystów polskich owego czasu w Monachium powstało ugrupowanie nazwane „Sztabem" z Maksem Gierymskim i Józefem Brandtem na czele. Stanisław Witkiewicz pisze tak:

„Między członkami „Sztabu" znajdował się człowiek, który na całą prawie grupę wywierał wpływ szczególny, którego umysł głęboki i logiczny wcześniej niż czyjkolwiek dotarł do najsłuszniejszych pojęć o sztuce i jej stosunku do ludzkiej duszy, to Adam Chmielowski".

Pracował wiele. Godziny ranne i wczesne popołudniowe spędzał w Akademii, pilnie rysował figury rzeźb antycznych, tworzył szkice kolorystyczne, projektował ilustracje baśni. Z umiłowaniem myślał o świecie antycznym. Pociągały go motywy greckie. Wielbił mistrzów włoskich, ale przede wszystkim szukał własnej drogi i pisał do Lucjana Siemieńskiego: „Więc przede wszystkim natura, potem starowłoska szkoła do Rafaela, stare Niemcy — starożytni rzeźbiarze — pompejańskie rzeczy malowane... — zresztą robić co głowa wymyśli i wedle talentu".

Czytał Platona, Biblię, Dantego. A kiedy myślą przebiegał kulturę i sztukę świata, wracał ku pierwszym czasom chrześcijaństwa. „Najciekawszymi są — pisał — pierwsze wieki po Chrystusie — a raczej chrześcijanie i cała cicha poezja ich myśli, przyniesiona do pogańskich grobów". I poczęła budzić się i coraz mocniej narzucać myśl o sztuce religijnej. Czuł, iż trzeba ku niej iść, na coraz wyższy podnosić się poziom i marzył wtedy o harmonii między życiem i sztuką poświęconą Bogu. „Ja myślę, że służyć sztuce, to zawsze wyjdzie na bałwochwalstwo — chyba by jak Fra Angelico sztukę i talent i myśli Bogu ku chwale poświęcić i święte rzeczy malować, ale by trzeba na to jak tamten siebie oczyścić i uświęcić i do klasztoru wstąpić, bo na świecie, to bardzo trudno o natchnienie do takich szczytnych tematów". Stwarzał dumną postawę artysty świadomego idealnej, marzonej sztuki, ku której idzie, nie schlebiającego względom i gustom publiczności... To też powodzenia nie zaznał.

Ale talentem i mocą własnych odrębnych na sztukę poglądów wywierał głęboki wpływ na kolegów. Palono i przemalowywano obrazy, gdy wskazywał ich braki. Maksowi Gierymskiemu podobno rzucił pytanie:

— Czy byłeś w powstaniu?

— Byłem.

— Czemu tego nie malujesz?

I ukazał mu właściwą drogę... Zgodnie przyznawali towarzysze, iż odznaczał się wielką subtelnością poczucia koloru.

Po odbyciu studiów w Akademii monachijskiej wrócił do kraju. Malował teraz dużo, ale wielu obrazów nie kończył, wiele niszczył w chwilach depresji i niezadowolenia. Chwilowo przebywał w Warszawie. Czas spędzał w gronie przyjaciół artystów. Zapadały mu w duszę głębokie wrażenia ze sceny, kiedy przyjeżdżała na gościnne występy Helena Modrzejewska.

Z Warszawy przeniósł się do Krakowa... Duszę jego w tym czasie opanowały jakieś głębokie, szarpiące walki. I wtedy w r. 1880 wstąpił do zakonu Jezuitów. Odbywał nowicjat w Starej Wsi. I zdawało mu się, że odnalazł swą drogę i uciszenie wewnętrzne. To były krótkie chwile złudy. Męka stawała się coraz większa, coraz trudniejsza do zniesienia. Z zakonu wystąpił. Swojej bogatej indywidualności nie pomieścił w ramach reguły; szedł dalej ku naznaczonym, nowym szlakom życia. Chory, w udręce ducha pogrążony, leczył się u brata na Podolu.

We wsi Kudryńcach gwar był dokoła. Zjeżdżali krewni. A on nieruchomy, nie mówiąc słowa do nikogo, martwy i jakby odcięty od ludzi, godziny i dni spędzał zatopiony w myślach. A potem wolno i z trudem powracał do równowagi duchowej. Może stawało się to wtedy, gdy zaczął czytać o św. Franciszku. Może dojrzał wtedy przed sobą ideową pracę. Zerwał się do czynu i objeżdżał wsie na Podolu. Marzyło mu się, aby zorganizować lud w duchu franciszkańskim.

I zląkł się rząd rosyjski tych wypraw artysty, bo na dnie ich dostrzegł coś groźnego. Ten człowiek o sztucznej nodze miał w sobie dziwną, niecodzienną moc; ten artysta-powstaniec mógł zbyt silnie przemówić do ludu i porwać go entuzjazmem, który się palił w jego piersi. Więc zląkł się rząd rosyjski i zagroził mu Sybirem.

Wtedy powrócił znowu do Krakowa. Znowu malował. Ale nie zachowało się wiele obrazów z tych jego twórczych, malarskich lat. Te, co ocalały, znajdują się częściowo u Braci Albertynów, w muzeach lub wreszcie rozproszone są po zbiorach prywatnych. Przeważają nastrojowe kompozycje. Sławne jego obrazy: „Ogród miłości" i „Pogrzeb samobójcy" należały podobno do całego cyklu. Zwłaszcza ten ostatni, przedstawiający tragedię samobójcy, za którego trumną w jesienny, szary, słotny dzień nie kroczy nikt oprócz wiernego psa, ten obraz miał podobno wywierać na widzach wstrząsające wrażenie.

(Dokończenie na str. 2).

Z poezji jugosłowiańskiej

J. DUCICZ

Wieczór na wyspie

Ponad głębiną
siną
mrok się już chłodny słał.
Zorzą czerwoną
płoną
wierzchołki nagich skał

Dzwonek się żali
w dali
skończony dzienny trud
Płyną westchnienia,
pienia,
modli się biedny lud.

W cichym pokłonie
skronie
chylą do Boskich nóg.
W tej wielkiej ciszy
słyszy
ich modły jeden Bóg.

Już mrok ogarnął
czarną
ziemię — i chłód się stał.
Zorzą czerwoną
płoną
wierzchołki nagich skał.

Przełożył K. Rychłowski.

Adam Chmielowski — Brat Albert

(Dokończenie ze str. 1).

Zgromadzenie Braci Albertynów w Krakowie posiada oprócz innych obraz większych rozmiarów, malujący objawienie się Chrystusa św. Małgorzacie Alacoque. Postać Jezusa zarysowana jest wyraźnie; mimo to w wyobraźni zostaje przede wszystkim wrażenie bardzo białej, świetlistej, nieuchwytnej wizji. Inne dwa płótna przedstawiają nastrojowy klasztor Kamedułów na Bielanach. Koloryt ciemny, mroczny, rozświetlony blaskami księżyca. Inny obraz, to ciemny las, a w nim kryjący się oddział powstańców. Na pierwszym planie sylwetka białego konia, a dalej kontury jeźdźców ginące już w zupełnym mroku. Są jeszcze portrety, są jeszcze inne kompozycje, a wszędzie ciekawe ujęcie światła, kolorytu i nastrojowość.

POŚRÓD NĘDZARZY.

„Nie było wówczas pogotowia ratunkowego, ani przytułków noclegowych. Było tylko jego obłąkane serce."

Stefan Żeromski.

Do Krakowa powrócił. Właściwie, pozornie był taki sam, jak dawniej. Malował, brał udział w dyskusji o sztuce w koleżeńskim gronie. Jeno w głębi duszy przebywał dalszy i ostateczny etap przeobrażeń; zapadały ciche, zrazu niewidoczne decyzje i postanowienia. Błądził po przedmieściach Krakowa, zaglądał do nor i spelunek nędzarzy. Wracał do pracowni, malował, a przed oczyma znowu stawali oni, widział ich wtedy już wszędzie, pośród ulic miasta i w myślach własnych, przesłaniali mu sztukę, piękno życia, dokoła, wszędzie dostrzegał nędzę.

Dnia jednego był u Potockich „pod Baranami" na balu... Atmosfera salonów, wytwornej elegancji, rozbawionego grona gości... Wtedy namówił kolegów, by poszli do miejskiej ogrzewalni, będącej schronienie dla bezdomnych. Poszli tam prosto z balu w strojach wieczorowych. Gdy ich wpuściła służba magistracka, dojrzeli ciemną norę, a w niej nędzarzy okrytych strzępami łachmanów i tulących się przy żelaznym piecu. Może wtedy pogłębiła się w nim myśl, iż trzeba złu zaradzić. Nie wystarczyło mu już wtedy to, że w swej pracowni malarskiej przytulał bezdomnych, postanowił teraz tam w nędzy pośród nich zamieszkać. Poprosił wtedy zarząd miasta o możność zajęcia się ogrzewalniami miejskimi, przywdział szary habit tercjarski i założył w r. 1888 pierwsze przytulisko dla nędzarzy. Na zewnętrznej ścianie przybił prosty krzyż. Otworem drzwi zostawił dla wszystkich i nie pytał ich, skąd przychodzą. Twierdził, że nawet zbrodniarza, który dopiero zabił człowieka, przyjąłby do przytuliska dlatego, aby tym czasem nie zabił drugiego człowieka. Spokój zostawił przychodzącym, posiłek dał, a potem powoli wciągał w pracę, stwarzając różne jej warsztaty. Nie narzucał praktyk religijnych, tylko wytworzył atmosferę taką, by dać możność nowego życia. Obok powstała kaplica, umieścił w niej prosty ołtarz, do dziś znajduje się w niej figurka Bożego Dzieciątka, umiłowana przez niego; tutaj przepędzał chwile najgłębszych, modlitewnych uniesień.

Kiedy oderwał się od dawnego życia i zajął nędzarzami, pisał do krewnych i znajomych: „Pamiętajcie, że umarł Adam Chmielowski, a został tylko Brat Albert". Malować przestał już wtedy prawie zupełnie. Bywały chwile, że przychodziło natchnienie. zrywał się wtedy jeszcze, chwytał paletę i pędzel. zapamiętywał się w swej pracy, a potem, potem — konstatował, że wiele spraw w tym czasie nie było załatwionych.

Bracia tłumaczyli to wtedy tak:

— Bo Brat Starszy tak był pochłonięty swym zajęciem, że nie można było nawet o nic zapytać.

Wtedy zrozumiał. że nie może czasu poświęcać sztuce... Zresztą wtedy żył już wyłącznie tą nową ideą. Stwarzał przytuliska w innych miastach, w całej Polsce.

Prócz przytułków dla nędzarzy organizowało Zgromadzenie Albertynów domy dla opuszczonych dzieci, kalek, obejmowało opiekę nad zakaźnie chorymi w barakach.

W Tatrach, na Kalatówkach zbudował pustelnię. I wtedy, gdy wyzbył się wszelkich wygód życiowych, kiedy otoczył się nędzarzami i wykolejeńcami, to może zostawił sobie to jedyne zadowolenie estetyczne, by móc patrzyć na piękno gór. W roku śmierci 1916 był tam raz jeszcze, by się pożegnać z Tatrami.

W bezprzykładnej żyjąc abnegacji, w tej ostatniej, szczytowej fazie swego życia doszedł ku wyżynom świętości.

Legenda osnuwa postać Brata Alberta. Powiadają, że w dniu jego śmierci widzieli ludzie ognisty słup wznoszący się w górę. Symbolem staje się ta wizja...

Z wyżyn artysty, światowca, estety zszedł, by wśród zaułków przedmieść szukać najgłębszej niedoli człowieka i stał się wtedy jakoby słupem ognistym, co płomieniami miłości wypala i usuwa nędzę z Polski.

Braciom Albertynom za cenne informacje składam tą drogą podziękowanie.

DR ANTONI WRZOSEK

Najnowsza niemiecka książka o Polsce

(Dr Wilhelm Nölting: Polen, Berlin 1936, Kurt Wolff Verlag)

Przed paru miesiącami ukazał się w cyklu wydawnictw: „Die Erde in Wort und Bild" w Berlinie tom poświęcony Polsce. Każdy z poprzednio wydanych tomów tego cyklu (a ukazały się tam tomy opisujące Italię, Japonię, Kanadę, Brazylię i Abisynię) obejmuje około 160 stron tekstu oraz 128 osobnych tablic z ilustracjami; takie też rozmiary posiada książka o Polsce.

Jest ona pomyślana jako zwięzły podręcznik informacyjny, przeznaczony dla czytelników niemieckich i pod tym kątem widzenia należy ją rozpatrywać. Tekst składa się z siedmiu rozdziałów.

Rozdział pierwszy jest bardzo krótki i obejmuje skrót wiadomości geograficznych o kraju, o jego ukształtowaniu, wodach, klimacie i miejscu, jakie zajmuje w Europie. Drugi rozdział, niewiele szerszy, omawia sprawy ludnościowe Polski: liczbę, ruch ludności, zawody, zagadnienia narodowościowe i wyznaniowe. Trzeci rozdział zajmuje się położeniem gospodarczym Polski. Po ogólnej ocenie, podkreślającej olbrzymie zniszczenie wojenne, podano kolejno najważniejsze wiadomości o rolnictwie, leśnictwie, hodowli i przemyśle, o wysokości zarobków i bezrobocia, o kumunikacji, poczcie i radiofonii. Osobny ustęp poświęcono Gdyni, „polskiemu cudownemu miastu", a cały rozdział zamykają uwagi na temat handlu zagranicznego i finansów Polski.

Najobszerniejszy jest czwarty rozdział, traktujący o duchowym obliczu kraju. Tu znalazła się na wstępie próba określenia cech ogólnych charakteru polskiego, po czym następują wiadomości o języku, stosunkach oświatowych, literaturze, teatrze i muzyce polskiej. Szczególnie szeroko opowiada autor o budownictwie, ujmując ten ustęp jako przechadzkę po miastach polskich i charakteryzując najciekawsze budowle każdego miasta w kolejności stylów, aż do nowoczesnych włącznie.

Ostatnie trzy rozdziały są znów znacznie krótsze. Piąty jest zwięzłym rysem dziejów Polski, szósty daje sylwetkę marszałka Piłsudskiego z krótkim zarysem jego życia i działalności. Rozdział siódmy ma charakterystyczny tytuł „Spojrzenie poprzez granicę". Autor wyraża tutaj pogląd, że realna polityka Polski winna dążyć do usunięcia tarć i zadrażnień z Niemcami. Wszyscy w Niemczech winni natomiast uznać, że rozbiory Polski były ciężką krzywdą moralną, której nie powinno być więcej. Polska i Niemcy graniczą z sobą bezpośrednio, a to powoduje konieczność dobrych stosunków sąsiedzkich, jeśli się ma uniknąć wielkiego zła.

Część ilustracyjna książki jest doskonała. Ilustracje pochodzą ze zbiorów Ministerstwa Komunikacji, ich dobór i układ jest dziełem pracującego w Berlinie fotoreportera węgierkiego L. Somogyi. Obrazy dają dobry wgląd w rzeczywistość życia polskiego krajobrazu i bynajmniej nie przedstawiają wyłącznie jasnych stron Polski, jak to usiłują zarzucać niektórzy recenzenci niemieccy.

TENDENCJA AUTORA.

Całość wywodów autora świadczy o szczerej chęci, aby dać obraz możliwie bezstronny i traktować wszystkie zagadnienia z rzetelnym obiektywizmem; nie rzadko uwydatniają się nawet objawy sympatii w stosunku do Polski. To nie przeszkadza bynajmniej autorowi pozostawać na platformie niemieckiego narodowego punktu widzenia, podkreślając wpływy niemieckie w Polsce i wysuwać zastrzeżenia przeciw niektórym poglądom polskim. Na dowód takiej oceny stanowiska autora przytoczymy szereg przykładów, wyjętych z różnych części tekstu.

Mówiąc o brakach i zaniedbaniach w dziedzinie życia gospodarczego i kulturalnego, podkreśla autor ustawicznie ujemny wpływ jarzma rosyjskiego. Mówi więc o tym, że w Polsce życie kulturalne ma dawną i świetną tradycję, że tu powstało pierwsze w Europie ministerstwo oświaty w postaci Komisji Edukacyjnej, że ten stan, jaki zastała Polska odrodzona, to smutny rekord rosyjskiej sztuki rządzenia, na konto której trzeba zapisać fakt, iż Polska liczy jeszcze dziś 30 procent analfabetów.

Pisząc o sytuacji gospodarczej Polski, zwraca autor uwagę na liczne braki, ale nie waha się stwierdzić, iż „nie brakowało woli twórczej, tempa pracy i najwyższego wysiłku, a cudzysłów przy określaniu polskiej gospodarki należy dziś niewątpliwie do lamusa historycznego". Oceniając kolejnictwo, podkreśla czystość wagonów nawet w 3 klasie i wyraża się z uznaniem o punktualności i bezpieczeństwie ruchu. Gdy mowa o Gdańsku, przyznaje autor, że byłoby błędem sądzić, że rozwój Gdyni odbył się tylko kosztem Gdańska, albowiem ten wykazuje dziś większe obroty portowe, niż przed wojną i prześcignął Szczecin oraz Królewiec. Nie zaniedbuje również wzmianki o tym, że dzięki wielu ofiarom waluta polska należy do najsolidniejszych w świecie.

Kiedy mowa o duchowych cechach Polaków, zaznacza autor, że są oni dalekimi od tej operetkowości, jaką niejednokrotnie pragną imputować wyobrażenia Zachodu. Język polski jest wprawdzie trudny dla obcych i niezbyt melodyjny, ale niesłychanie bogaty w wyrażaniu wszelkich odcieni uczuć. Pozytywną ocenę znalazł również poziom nauki polskiej, szczególnie w działach matematyczno-przyrodniczych. Za największą zasługę literatury polskiej uważa autor to, że posunęła kulturę zachodnią o 200 mil na wschód i była zawsze przedmurzem cywilizacji przed azjatyzmem.

Bardzo dużo sentymentu wkłada autor w opis miast, szczególnie Krakowa, którego zabytki budzą w nim entuzjazm. Natomiast przy Warszawie podkreśla, iż złe zabudowanie stolicy to przede wszystkim wina Rosjan, którzy chcieli zepchnąć miasto do roli czysto prowincjonalnego ośrodka.

Ale, jak już powiedzieliśmy, autor umie być także nastawionym krytycznie i pamięta zawsze, że jest Niemcem. Bez entuzjazmu wspomina o tym, że w ostatnich latach odebrano eksport drzewa Gdańskowi, dając go Gdyni. Przy tym nie używa określenia

(Ciąg dalszy na str. 3).

ADAM BAR

Wśród książek

Nowy debiut literacki, zapowiadający nieprzeciętny talent. Jest to powieść **Aliny Segeń pt. „Anna"** (wyd. Gebethner i Wolff). Autorka przechodziła niezwykłe koleje życia; najpierw tragicznym obrazem odbija się w nich tułaczka po Rosji podczas wojny; po tym wraca do Polski, kończy gimnazjum i po maturze zostaje ekspedientką w jednym z magazynów warszawskich, po pół roku awansuje na kasjerkę. Lecz po trzech latach zła koniunktura pozbawiła ją pracy. Zostaje modystką — i pisze swoją pierwszą powieść. Ale te wypadki pod żadnym względem nie wycisnęły swojego wpływu na jej książce, chyba tylko tragiczny los bezrobotnego, ale i ten motyw wiąże autorka z innym, zacierając w ten sposób jego wyrazistość. W pierwszej części autorka opowiada o miłości Anny i austriackiego inżyniera Roberta. Przejście od poznania do wielkiej miłości jest w powieści zbyt szybkie i mało przygotowane, ale miłość jest kapryśna i nie da się zmieścić w żadnych formułkach. Już tutaj jednak wysuwa się pierwsza charakterystyczna cecha autorki: trzeźwy pogląd na świat, nie dający się podporządkować żadnym nastrojom romantycznym. Dwa rozbieżne motywy: realizm i romantyzm — ścierają się w powieści co krok. Robert jest typem „mocnego człowieka", a Anna typem nowoczesnej kobiety, idącej przez życie własnymi pragnieniami i własną myślą. Z tego właśnie egocentryzmu tworzy się jej późniejszy tragiczny los. Robert jest zdolnym inżynierem, ale między nim a właścicielem fabryki powstają nieporozumienia, które szybko przybierają ostrą formę, tak, że wreszcie jako „niewygodny cudzoziemiec" zostaje usunięty z Polski. A że w Austrii nie może dostać pracy, odbiera sobie życie. Na tym kończy się pierwsza część powieści — dzieje miłości Anny i Roberta. Autorka posługuje się środkami bardzo prostymi, ale posiada niezwykle nasilone zrozumienie ludzkiej psychiki — odrzuca mdłe szablony sentymentalizmu, a stojąc zawsze na gruncie nieodwracalnej rzeczywistości, szeroko otwartymi oczami patrzy w prozę dnia codziennego: Dzięki temu w tych dziejach miłości nie znajdzie się, ze świeczką w ręku ckliwego sentymentalizmu ani koturnowego patosu. Życie należy rozumieć w sensie jego prawdy, jakie ono jest, a nie jakim je chcemy widzieć. Ten ostry stosunek do rzeczywistości narzuca się natarczywie naszej świadomości w drugiej części powieści. Anna znękana życiem rzuca się pod pociąg, ale w ostatniej chwili zostaje uratowana. Ciężko ranną, ze strzaskaną ręką przewożą do szpitala. Trochę w tym wszystkim będzie „choromańszczyzny", ale autorka daje wypadkom, które rozwijają się w szpitalu, własny posmak oryginalności. Nie ucieka się do skrajnego realizmu, maluje przeżycia Anny, cierpienia, i tragizm jej duszy; od rzeczywistości powoli akcja odrywa się, i zstępuje w otchłań życia duchowego. Życie Anny mocno uwiązane do powszedniego dnia w szpitalu błąka się w gąszczach zawiłej problematyki. Uratowana wbrew swojej woli, po wyjściu ze szpitala, przez kontrast z życiem, z którym kontakt zerwała, stara się uchwycić jakieś nowe podstawy na dzień jutrzejszy. Na tym tle rozgrywa się istotnie dramatyczna walka. Wtedy myśli, którym uległa, oderwały się od reszty od życia, i uniosły ją poza granice. Następuje rozmowa z doktorem o Bogu. Doktór, trochę deista, mówi, że wierzy w Boga, bo wszystko na świecie jest zbyt piękne i logiczne, aby było dziełem przypadku, ale nie myśli o ingerencji Boga w sprawach ludzkich, bo człowiek jest zbyt hojnie obdarzony przez Niego, aby potrzebował opieki. Ta rozmowa z doktorem jeszcze więcej pogłębia nihilizm duchowy Anny i jej nienawiść do życia. To jej życie, które zawsze układało się jakoś chropawo, że musiała ścierać tę chropawość własnymi rękami, aż krwawiły, staje się teraz tragiczną omyłką. Anna nie umie zbudować sobie nowego życia, pogrąża się w coraz posępniejszą ciemność, aż wreszcie ginie.

Powieść pozostawia po sobie głęboki cień wzruszenia, ale równocześnie jakiś osobliwy powiew smutnej beznadziejności, która rozlewa się w końcu szeroką wodą pesymizmu. Pesymizm ten płynie z przedziwnej naprawdę introspekcji psychicznej. Rozpiętość środków artystycznych, w pierwszej części powieści jeszcze tu i ówdzie wąska, tutaj osiąga pełnię, autorka opanowuje najsubtelniejsze chwyty artystyczne, sięga w najtajniejsze labirynty duszy Anny, która rozpaczliwie broni się przed próżnią wciągającą ją w czarną otchłań. Powieść jest niezwykłym debiutem literackim, ujawniającym talent dojrzały, o bogatych możliwościach artystycznych, i — z literackiego punktu widzenia — wszelkie warunki, które pozwalają autorce uzyskać nagrodę młodych Polskiej Akademii Literatury.

Trudno wątpić, że Manna „Czarodziejska góra" nie wpłynęła na powieść **J. St. Grabskiego p. t. „Na krawędzi"** (wyd. Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu). Te same przeżycia szpitala dla gruźlików, choć podejście do tematu, ideologia inna. „Na krawędzi" jest drugą częścią poprzednio wydanej powieści Grabskiego p. t. „Kłamstwo". Ale ci, którzy do twórczości Grabskiego po „Kłamstwie" odnosili się ze sceptycyzmem, po przeczytaniu jego najnowszej powieści zostali mile zdziwieni. Grabski ma istotnie talent. Ale w jego twórczości nastąpiła zasadnicza i bardzo korzystna zmiana. O ile poprzednio autor nie umiał sobie jeszcze dać rady z tematem, nie zawsze planowo i celowo prowadził intrygę, która co chwila wymykała mu się z rąk i zmieniała się w pamflet polityczny, o tyle tutaj widzi się starannie przepracowaną kompozycję, dobre rozwinięcie intrygi; o ile tam powieść przepełniona była szablonowymi postaciami, z których jedna była do drugiej, jak sjamscy bracia podobna, znać powstały z fantazji, bez udziału obserwacji, o tyle tutaj znajdujemy dobrze pojętą indywidualizację występujących osób, z których każda żyje własnym życiem. Porównując obie powieści musi się przyznać, że różnice między nimi są znaczne. I jeszcze jedno należy zauważyć. „Kłamstwo" było trochę pamfletem politycznym; i to psuło artyzm, bo zbyt jaskrawo podkreślona tendencja stoi zawsze w ostrej dysproporcji z założeniami artystycznymi. W drugiej natomiast powieści tendencja została zepchnięta na szary koniec, czasem zjawia się, ale tak niedo-

Najnowsza niemiecka książka o Polsce

(Dalszy ciąg ze str. 2)

„Wolne miasto“, ale „Wolne Państwo Gdańsk“. Wątpliwości nasuwa mu też fakt kierowania gospodarki polskiej na linię północ-południe i w kierunku morza, z zaniedbaniem kierunku zachód-wschód. Podkreśla duży wpływ niemieckiego na język polski (konstatując zresztą i fakt odwrotny), pisze, że najważniejsze miasta polskie założyli osadnicy niemieccy i kształtowali niemieccy architekci, że w sztuce polskiej zostawili liczne ślady artyści niemieccy. Dziwi go wreszcie fakt, że historycy polscy mają za złe obu Augustom Saskim, iż dbali więcej o Drezno, niż o Warszawę.

BŁĘDY I NIEDOCIĄGNIĘCIA KSIĄŻKI

Mimo widocznej sumienności w zbieraniu materiałów i podawaniu wiadomości o Polsce, wkradła się w tekst pewna ilość błędów, sprostowanych tylko częściowo w „erratach“. Nie chcemy robić z tego specjalnych zarzutów, wiedząc, że autor niemiecki może natrafić na trudności w zdobywaniu poprawnych materiałów o Polsce, ale warto wspomnieć bodaj o kilku w interesie całokształtu oceny.

Myli się więc autor, pisząc, że Polska jest 4 razy większa od Czechosłowacji; należało napisać — blisko 3 razy większa. Wysokość Doboszanki trzeba poprawić z 1557 m. na 1757 m. Twierdzenie, że średnia temperatura stycznia nad Dźwiną wynosi — 16° C jest mocno przesadzone. Powinno być — 6° C. Określenie Polaków jako „narodu z przestrzenią“ jest bardzo optymistyczne, lecz niezgodne z rzeczywistością. Polska jest w stosunku do swej struktury gospodarczej więcej przeludniona, niż Niemcy. Podawanie długości Wisły na 5536 km wzbudza zastrzeżenia. Zapewne autor miał na myśli jej długość z dopływami, ale w takim razie należało to wyraźnie zaznaczyć.

Kapitalny błąd popełnia autor, kiedy mówi o miastach polskich. Czytamy tam mianowicie następującą „rewelację“: „Polacy nie mówią „Wilna“, lecz „Wilno“, mówią również Warszawa, Kraków i „Lwów“ zamiast „Lemberg“. Nowe państwo, rozpolitykowane do ostateczności nadało w początkowym oszołomieniu starym miastom szereg nowych nazw“. A zatem autor sądzi, że nazwy Kraków, Warszawa, Lwów, Wilno zostały stworzone po wojnie i nadane starym miastom Krakau, Lemberg, Wilna itd.! Jaskrawy to dowód, jak obce są polskie sprawy dla ogółu Niemców, skoro autor, który wykazał niewątpliwie dużo dobrej woli w kierunku poznania Polski, nie orientuje się w tak elementarnych sprawach.

REAKCJA KSIĄŻKI W SFERACH NIEMIECKICH.

Ocena pracy Nöltinga w większej części prasy niemieckiej w Rzeszy była na ogół przychylna, choć zarzucano autorowi pewne nieścisłości. Natomiast w Gdańsku i wśród Niemców polskiego Śląska wywołała książka wielkie niezadowolenie.

Recenzent na łamach „Danziger Vorposten“, dr Reiss wyraził się, że rozpowszechnianie książki byłoby szkodliwe dla Niemiec i niemczyzny. Szczególnie oburzyły go twierdzenia Nöltinga, że rozbiory były krzywdą dziejową, oraz że Gdańskowi powodzi się obecnie lepiej, niż przed wojną. Uważa on, że są to fakty nie do przyjęcia dla Niemiec i przestrzega przed tą „zgubną lekturą“.

Jeszcze więcej żółci wburzyła książka w recenzencie na łamach „Deutsche Monatshefte in Polen“, którym był dr W. Kauder. Rozprawia się on z autorem na trzech stronach druku, stawiając mu mnóstwo zarzutów. Dla przykładu przytoczymy kilka spośród nich. A więc błędem ma być rzekomo zdanie, iż większość rzek polskich, w tym i Wisła, wypływa z Karpat, ponieważ trzeba było napisać, że z Beskidów. Czyżby recenzenta należało dopiero pouczać, że Beskidy są częścią Karpat? I że autor postąpił właściwie wymieniając znaną powszechnie w Niemczech nazwę Karpat zamiast Beskidów, obcych napewno znacznej części mieszkańców Badenii czy Nadrenii?

Oburza się bardzo recenzent, że autor nie napisał o przyczynach emigracji niemieckiej z Pomorza i Śląska. Istotnie, należało napisać, że rząd polski prosił urzędników niemieckich na Pomorzu w roku 1920 o pozostanie nadal na stanowiskach, ci jednak z rozkazu Berlina uciekli tłumnie z Pomorza, a w ich ślad poszli kupcy, rzemieślnicy i część rolników. Czy jednak takie stwierdzenie byłoby przyjemniejsze recenzentowi, śmiemy wątpić.

Wzmianka o Gdańsku, mówiąca o tym, że powodzi mu się teraz lepiej niż przed wojną, wywołuje i tu gniew. Próżny to gniew, boć przecie fakt ten nie jest oparty na informacjach, otrzymanych od Polaków, jak usiłuje wmówić recenzent, ale na niewzruszonych podstawach cyfr statystycznych obrotów portowych. Tych zaś nie zdoła zmienić okoliczność, że są komuś nie wygodne.

Duże niezadowolenie wywołuje także mianowanie Polski — wałem przeciw azjatyzmowi. Nazywa to recenzent powtarzaniem tez polskiej propagandy i domaga się co najmniej stwierdzenia, że wał ten jest bardzo słaby bez oparcia o blok środkowo-europejski. Musimy przypomnieć, że wał polski był dość silny, aby powstrzymać nawałę sowiecką w roku 1920, mimo, że Niemcy, które teraz rade by odebrać Polsce dla siebie ten tytuł, robiły wówczas wszystko, aby polski wał w najcięższych momentach osłabić, a niemieckie gazety śląskie podawały z radością fikcyjne wiadomości o upadku Warszawy. Inaczej wyglądałyby dziś Niemcy, gdyby polski wał w odpowiednim momencie nie był wytrzymał naporu.

Ale przerwijmy polemikę z nieistotnymi i złośliwymi zarzutami. Można zakończyć stwierdzeniem, że o ile autor wykazał dużo dobrej woli w ujęciu swej książki, o tyle z wymienionych tutaj krytyk przebija wyraźnie zła wola i stronniczość.

Rozrywki umysłowe Nr 1/40

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

Wszystkim PP. Czytelnikom i Szaradzistom w numerze dzisiejszym, jako pierwszym w Nowym 1937 Roku, zasyła Redakcja i kierowniczka Działu R. U. staropolskie: „Szczęść **Boże**“.

Konkurs Noworoczny

ZADANIE 1. ARYTMOGRAF NOWOROCZNY.

uł. N. K. Kozłowski, czł. Kl Szar:



Po zamianie cyfr w arytmografie na odpowiadające im litery w kluczu pomocniczym, otrzymamy aktualne rozwiązanie.

ZADANIE 2.

SZARADA — NOWOROCZNY...*)

uł. **„John Ly“** — czł. Kl. Szar.

z P. N. R. 1937.

Chciałem Wam rebus narysować
i **pięć-sześć-siódme** w nim swe przesłać...
Gdy praca była już gotowa,
ze śmiechu-m omal nie spadł z krzesła...
Nie obraz to, lecz „**wspak trzy-czwarty**“
istny spod mego wyszedł piórka.
Więc rzekłem sobie: „Wolne żarty,
Tym się uznania nie doszturkam...“

Pegaza swego więc dosiadam,
weny **ósmemu** doda Febus,
że Wam wypowie to szarada,
czego nie zdołał wyrzec rebus.

Pierwsza-wspak druga śnieżna **dwa-pięć**
na górach, równiach, drzew koronach...
Rok Stary w dal gdzieś ciemną człapie,
Młody w podskokach bieży do nas.

Witaj-że nam! Niech moc twa świeża
cztery-wspak dwa-pięć naszej doli!
By wszelki smutek nas odbieżał,
przestało boleć to, co boli...

Odpędź na **ósme-drugie** kryzys,
by nas **raz-szóste** nie smagały
jego — lecz daj nam wziąć go w ryzy!
Taki to ślę Wam dzisiaj **Cały**.

*) Dokończenie w rozwiązaniu.

ZADANIE 3. — SZARADA ZZA OCEANU.

uł. B. K. — Hollywood.

Nadchodzi... I nadszedł **Cały**.
Raz-dwa piękny, skrzydlaty,
Różowy, pucołowaty
ten Olbrzym mały.

I znowu nad nami przeleci.
Na szarfie, którą wiatr chwieje,
uczepione są nasze nadzieje
i **drugi-trzeci**...

ZADANIE 4. — SZARADA KRAKOWIAK.

uł. M. Zawadzki, Kraków.

Krakowiaczek ci ja,
w Krakowiem się rodził,
Sześć latek już miałem,
Do szkołym już chodził.

Chodziłem za szkołę
biegać poza miastem
poza tym zbierałem
czternaste-piętnaste.

Czternaste-piętnaste
na przeróżne cele
pięć-sześć-siedem-ósme
i na innych wiele.

A jakże to chętnie
dawali ludziska —
dziś każdy grosz supła,
dusi go i ściska.

Jednak gdy się znudzi,
siedząc w **siódmym-drugim**,
na **piętnaście-dziesięć**
toby zrobił długi.

Choć mu z filmów oczy
trzy-dziewiąte psuje,
grosz na **dwu-dziewiątych**
świątynię żałuje.

A więc dziś z **szesnastym — jedenastym** rokiem,
choć ci różne zbiórki
wyłażą już bokiem,

na **siedem-piętnaste**
daj dla marynarki,
raz **Całość** i pomoc
zimową — podarki.

Włóż w cel każdy pewną
uczuć **siódmą-trzecią**,
Bóg cię wynagrodzi
na zdrowiu i dzieciach.

Siedemnaste wszystkim
chełp się swoim miastem
lecz mu pomóż z nowym
Dwunastym-trzynastym.

Gdy jak ta reduta
wspak sześć-siedm-piątego
dwa-trzy-czwarte stanie
gmach narodowego,

to zatańczę ci ja
z radości, jak wtedy,
gdym do szkoły chodził,
za szkołę niekiedy.

Rozwiązanie powyższych zadań należy nadsyłać do dnia 31 stycznia r. b. pod adresem Redakcji dla Działu R. U. Ważna data stempla pocztowego. Jako nagrodę za bezbłędne rozwiązanie Redakcja przeznacza kalendarz stojący, wydawnictwa Muzeum Narodowego w Krakowie.

KUPON Nr 1/40

ważny do dnia 31 stycznia 1937 r.

---

strzegalnie, że szybko ześlizguje się z powierzchni i znika. Intryga opanowała akcję prawie w zupełności. Widać nawet duży umiar w dyskusjach na różne tematy, co także przemawia na korzyść autora. Jaka jest treść powieści? Do sanatorium pod Wiedniem przyjeżdża młody student uniwersytetu z Warszawy, Jacek Nowicki. Badania lekarskie, zabiegi, życie sanatoryjne — to autor opisuje ze wszelkimi szczegółami. Realizm posunięty został tak daleko, że autor tłumaczy nawet znaczenie różnych zabiegów i rodzaj objawów chorobowych. Czyni to zresztą przez całą powieść, nawet wtedy, gdy akcja przerzuca się w inne środowisko. Kilka dobrze zarysowanych postaci, z których najpiękniejsza jest owa Lili, chora na gruźlicę kości. Jacek porzuca jednak sanatorium i przenosi się do Davos. Zamiast jednak leczyć się — rozpoczyna hulaszcze życie, które pociąga za sobą ciężką chorobę. Przed tym jednak, zanim jeszcze znalazł się znowu w sanatorium, zjawia się Kira, znana jeszcze z „Kłamstwa“. Po hulaszczej uczcie w mieszkaniu Jacka Kira zostaje jego kochanką. Stan zdrowia szybko staje się beznadziejny, zwłaszcza, że równocześnie zachodzi konieczność przeprowadzenia operacji wyrostka robaczkowego. Cudem Jacek przełamuje chorobę. Kira jednak w Lourdes zrobiła ślubowanie, że, jeżeli Jacek wróci do zdrowia, nigdy nie zostanie jego żoną. W ten sposób kończy się powieść. Jest to jednak streszczenie bardzo powierzchowne, jeżeli się weźmie pod uwagę mnóstwo szczegółów, którymi akcja jest obficie przetkana. Na jedno tylko należy zwrócić uwagę. Na karcie tytułowej wyciśnięto pieczątkę, że nie jest to książka dla wszystkich: bardzo słusznie, nie brak w niej bowiem sytuacyj drastycznych i silnie nasilonej zmysłowości.

Słabszą jest powieść **Halszki Szołdrskiej** p. t. **„W ogniu i w locie“** (wyd. Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu). Nie ulega jednak wątpliwości, że autorka szybko pokona trudności techniczne i opanuje rutynę pisarską. Jest to powieść biograficzna, jak oznajmia autorka, mimo to jednak widać w niej staranne usiłowania, aby motyw biograficzny, o ile możności, jak najsilniej zatrzeć, a na czoło wysunąć raczej czynnik powieściowy. Mamy więc najpierw historię małego Stasia, wcale zgrabnie opracowaną, ale zainteresowanie czytelnika ożywia się dopiero z chwilą, gdy wybucha wojna, która ogarnia również bohatera powieści. Najlepszą w całej książce jest scena, gdy Staś przedziera się z Warszawy poprzez oba fronty nieprzyjacielskie do rodzinnego miasteczka. Po tym następuje opis tworzenia się P. O. W., w której Staś bierze wybitny udział. Akcja rozplątuje się, rozszerza na kilka innych postaci, które biorą między siebie poszczególne role, pozwalające autorce odmalować dzieje walk polskich przez wszystkie lata wojny, a szczególnie w okresie bojów polsko-bolszewickich.

Nowa sztuka znanego powieściopisarza i komediopisarza **St. Miłaszewskiego** p. t. **„Bunt Absalona“** (wyd. Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu) jest dramatem namiętności. W biblijnych dziejach króla Dawida, jego syna Absalona i córki Tamary ludzkie uczucia i ludzkie pragnienia prowadzą do ostrych konfliktów. Absalon, dowiedziawszy się o kazirodczym stosunku swego brata Amnona zabija go, usuwając równocześnie w ten sposób swego konkurenta od tronu. Te wypadki wypełniające pierwsze odsłony dramatu zawiązują konflikt, który wciąga w krąg tragicznych powikłań szereg postaci, stojących blisko króla Dawida. Absalon, za radą Achitofela, decyduje się na bunt przeciwko ojcu, chce go zrzucić z tronu, a jednocześnie obalić władzę kapłanów, którzy kierują czynami Dawida. To jest drugi motyw dramatu, walka między Achitofelem, przedstawicielem ludzi opanowanych namiętnościami i z nienawiścią odnoszących się do stanu kapłańskiego, który reprezentuje prorok Natan. Oni właśnie mają w swoich rękach tych, którzy mają stać się narzędziami ich celów i planów. Achitofel skłania Absalona do buntu, a Natan stara się obudzić gniew Dawida. Na tym tle ścierają się ludzkie uczucia. Miłaszewski nie starał się odtworzyć postaci biblijnych, ale zarówno w Absalonie, jak w Dawidzie, dostrzega tylko ludzi, podlegających człowieczym instynktom walki i wzniosłym popędom uczuć. Absalon podnosi bunt, ale przeżywa go jako głęboki dramat człowieka, w którym zwalczają się różne sprzeczności: żądza władzy i miłość synowska; podszepty złych doradców i uczucia biednego człowieka, który rozumie swoją małość i niskość. Również Dawid został tu — jak się mówi — odbronzowiony, jest tylko człowiekiem; ten prorok, śpiewający Bogu wspaniałe psalmy, nie jest również wolny od ludzkich słabości, nawet popełnia zbrodnię, byle dogodzić swoim najniższym pragnieniom; potępia wprawdzie postępowanie Absalona, ale równocześnie głęboko boleje nad wiarołomstwem syna, którego kocha. To wyczucie ludzkich uczuć w biblijnych postaciach jest bezsprzecznie wielką zaletą dramatu Miłaszewskiego. — Sztuka trzyma się silnie rzeczywistości, przykuwa uwagę głębią zrozumienia dramatu człowieka, którego porywa wir zbrodniczych namiętności.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Pisaliśmy niedawno kilka wiadomości o Filipinach i stolicy tych wysp, Manili, w której ma się odbyć 33. Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny w dniach od 3. do 7. lutego 1937 r. Te wiadomości były odpowiedzią na pytanie, dlaczego w tym oddalonym od centrów cywilizacji kącie świata, a nie gdzie indziej, odbędzie się kongres, dlaczego te egzotyczne wyspy wybrano na miejsce tego obrad i religijnej manifestacji?... Filipiny bowiem — dziś jeszcze pół-wolny (jeśli się tak można wyrazić) kraj — są jedynym katolickim państwem Dalekiego Wschodu, jeśli zważyć, że 82% ludności należy do Kościoła katolickiego. Oto był powód tego wyboru... Ale też i powód szczególnego zainteresowania Filipinami ze strony katolików.

STAN KATOLICYZMU NA FILIPINACH.

Redaktor paryskiej „la Croix", Ks. Merklen, podaje kilka nowych szczegółów z życia tego kraju i zbliżającego się kongresu... Zwraca naprzód uwagę na zbyt szczupłą liczbę duchowieństwa w porównaniu do liczby katolików. Na 13 bowiem milionów dusz wypada zaledwie 1400 księży; z tych tylko 800 pochodzi z ludności tubylczej, a 600 z Hiszpanii, Stanów Zjedn., Belgii i Niemiec. Wiele parafij nie ma księdza. Są zaś takie, które dochodzą do 40 tys. dusz. Organizacja kościelna — pisze Ks. Merklen — obejmuje 2 arcybiskupstwa (prowincje kościelne), 10 diecezyj i 2 prefektury apostolskie. Uniwersytet katolicki w Manili kształci 3 tys. studentów. Istnieje 12 seminariów duchownych, 60 kolegiów (gimnazjów) i 150 szkół parafialnych. Jest to oczywiście za mało w stosunku do potrzeb. To też — konstatuje ten sam autor — wśród ludności panuje ignorancja w połączeniu z przesądami.

Katolicyzm jest tu zagrożony przez dwie siły: masonerię i protestantyzm. Z tych pierwsza podobno znacznie osłabła na wpływach, kiedy w r. 1898. Hiszpania straciła władzę nad tym krajem. Zajęcia jednak wówczas wysp przez Stany Zjednoczone wzmocniło wpływ protestantyzmu. Nadto przez pewien czas, po r. 1900., grasowała na Filipinach czysto „narodowa" sekta założona przez pewnego nieszczęśliwego księdza, Grzegorza Alipay.

KONGRES RAS KOLOROWYCH.

Przygotowania do kongresu są na ukończeniu. Poprzedziły go misje i wspólne Komunie św., zarządzone zbiorowym listem pasterskim Episkopatu z 11. II. 1935 r. Podczas jednego z takich nabożeństw do Komunii św. przystąpili: prezydent republiki Quezon, — wiceprezydent Osmona, — i wysoki komisarz Stanów Zjedn. Murphy, tercjarz franciszkański. To świadczy, że rząd bierze aktywny udział w kongresie.

Kongres eucharystyczny w Manili będzie miał za temat swych obrad: praca dla misyj na Dalekim Wschodzie. Spodziewany jest udział licznych delegacyj z Japonii, Indochin, Chin, Indyj. Mniej z Europy... Przy dobrej organizacji gotów się kongres przemienić w manifestację kolorowych ras na rzecz katolicyzmu. Z tego względu byłby to pierwszy o takim charakterze kongres katolicki. Dotychczasowe bowiem ściągały głównie przedstawicieli białej rasy.

W takim razie kongres w Manili byłby mocnym podkreśleniem prawdy, że Chrystus zbawił ludzi wszystkich kolorów i wszystkich narodów. Byłby najwspanialszym zamanifestowaniem powszechności katolickiego Kościoła i tym samym także roli, którą katolicyzm odgrywa obecnie w świecie.

TEOLOGIA WSCHODU.

Przy końcu grudnia 1936. r. odbył się w Atenach zjazd schizmatyckich teologów z cerkwi wschodnich, głównie greckiej. Na miejsce zjazdu wybrano Ateny, które się szczycą posiadaniem najstarszego na Wschodzie fakultetu teologicznego. Zjazd był nową próbą pchnięcia naprzód sprawy zjednoczenia wschodnich kościołów, a to przez porozumienie między teologami. Dalej miał zjazd być pierwszym krokiem do „wszechortodoksyjnego kongresu", który jest projektowany na rok 1937.



Na zjazd przybył król grecki, Jerzy II; on też dokonał otwarcia. Przewodniczył grecki teolog, A. Aivisatos, który obrady zagaił retrospektywnym referatem na temat Cerkwi wschodniej... Wschodnie chrześcijaństwo — mówił — choć rozdzielone na szereg samodzielnych cerkwi, stanowi jednak jedność, której zagrażają: katolicyzm i protestantyzm. Główną zasługą tych Cerkwi — według greckiego teologa — jest „utrzymanie apostolskiej tradycji", gdy protestantyzm daleko od niej odbiegł i skutkiem tego jest wewnętrznie rozbity. Ten moment, który Kościół katolicki ustawicznie podkreśla, skłania protestantów do szukania kontaktów z cerkwiami Wschodu.

Aivisatos nie jest jednak bezwzględnym chwalcą wschodniego chrześcijaństwa. „Jeśli to chrześcijaństwo — mówił — ma być uratowane przed katastrofą, to musi stworzyć własną teologię". Obecny bowiem stan myśli teologicznej w cerkwiach Wschodu jest wypadkową wpływów katolickich i protestanckich. Dlatego należy — mówił — dążyć do stworzenia „ściśle ortodoksyjnych" instytutów teologicznych. Jest to warunek konieczny dla ożywienia działalności cerkwi Wschodu i dla powodzenia prac unionistycznych, które są planowane.

UNIONISTYCZNE PRĄDY WSCHODNIE.

Głównym punktem obrad ateńskiego zjazdu była sprawa „powszechnego soboru". Referent tego punktu, wymieniony wyżej teolog Aivisatos, jest zdania, że idea takiego soboru, choć trudna, nie jest jednak niemożliwą do realizacji. Sądzi, że Cerkiew grecka, uważająca się za spadkobierczynię patriarchatu konstantynopolitańskiego, ma prawo i obowiązek podjęcia się roli najważniejszej, mianowicie zwołania takiego soboru. Omawiając stanowisko Kościoła katolickiego w tej sprawie, grecki teolog przytoczył — nie wiadomo, czy wiernie — oświadczenie Benedykta XV. Miał on powiedzieć, że Kościół trzyma się wprawdzie z dala od prób takiego zjednoczenia, jakie podejmują cerkwie Wschodu, bo wchodzą w grę momenty dogmatyczne, — ale jest przekonany, że „to zjednoczenie wschodnich cerkwi z czasem przyczyni się do ich zbliżenia ku katolickiemu Kościołowi", i dlatego jest mu przeciwny.

FRANCUSKIE „PŁOMYKI".

Katolicka prasa Francji alarmuje opinię z powodu przenikania wpływów komunizmu do szkoły. Skarży się na propagandę marksizmu przez część nauczycielstwa wśród dzieci i na wpajanie im przez nauczycieli sympatyj dla Rosji komunistycznej. Tak n. p. stwierdzono, że niektórzy nauczyciele uczą dzieci „Internacjonału", — że wśród nich szerzą wydawnictwa francuskich komunistów (jak „Revue de l' enseignement primaire"), — że w nie wpajają nienawiść do religii. Stwierdzono już istnienie „komórek" komunistycznych, zwłaszcza w szkołach na przedmieściach Paryża. W jednej ze szkół na przedmieściu Malaroff młodociani komuniści wszczęli krwawą walkę z dziećmi rodziców, należących do narodowych ugrupowań; skutkiem tego dyrektor szkoły widział się zmuszony wezwać policję (!) o pomoc.

Równocześnie stwierdza prasa katolicka, że najwyższe władze szkolne albo tolerują te zgubną działalność nauczycielstwa, albo ją nawet ochraniają. Nic dziwnego — pisze — bo obecny minister oświaty, p. Jean Zay, jest autorem wiersza, w którym — tuż po wojnie — szydził z flagi narodowej francuskiej.

Ma więc i, Francja sprawę podobną do sprawy naszego „Płomyka", tylko jeszcze gorszą...

Pejot.

Etyka a polityka

Znany katolicki publicysta Ks. Leon Merklen ogłosił rozprawę p. t. „La politique n' est pas une affaire des sentiments" (Polityka nie jest sprawą sentymentów), w której zadaje tak aktualne i praktyczne w dzisiejszym życiu społecznym pytanie: **czy polityka musi zerwać z uczciwością, aby mogła być skuteczną?**

Papież Pius XI w przemówieniu do mężów katolickich Italii wyrzekł następujące słowa: „Stroniąc od polityki partyjnej, Akcja Katolicka chce przygotować do dobrej polityki, do wielkiej polityki. Chce przygotować pod względem politycznym sumienia obywateli i ukształtować je w sposób chrześcijański"...

Ciągle się słyszy, że polityka wyłącza prostolinijność i uczciwość. W pojęciu mas „polityk", to — człowiek fałszu, podstępu, sprytu i obłudy. Czy to prawda? Czy nie należałoby odróżniać pseudo-polityki, raczej małego szwindlarstwa, od polityki wielkiej, czyli znajomości zasad, kierujących charakterami jednostek i społeczeństw? O „wielkiej polityce" mówi ks. Ludwik Civardi w Podręczniku Akcji Katolickiej w ten sposób: „Obojętność zupełna względem wielkiej polityki, która jest życiem narodu jest zarazem samolubstwem i niewdzięcznością, tym więcej, że na polu takiej polityki rozstrzygają się najwyższe sprawy nasze i bliźnich... Polityka ma wielki wpływ na życie religijne i moralne kraju. Może skrępować wolność sumienia i obrzędów lub popierać posłannictwo religijne Kościoła... Religia przynosi bezcenne korzyści polityce, dlatego, że daje jej zasady etyczne, będące podstawą życia społecznego i dlatego że tylu zasadom nadaje istotną wartość i praktyczną skuteczność".

Cóż to jest „wielka polityka"? Jest to taka polityka, która brzydzi się małostkowym podstępem i drobnostkową złośliwością w stosunku do przeciwników. Widzimy dziś tak często rozpętanie niechęci i nienawiści u zwolenników przeciwnych sobie obozów politycznych. Te kłótnie, swary i zawiści jednak — to nie jest bynajmniej gra polityków we właściwym tego słowa znaczeniu. Jest to raczej ścieranie się pozbawionych kultury jednostek, których rozumy zaciemniają namiętności. Wśród wielu naszych tak zwanych „polityków" przeważa taki stan zaćmienia umysłów przez zachłanność, złość i zawiść. Stąd tragikomiczne widowisko, którego często jesteśmy świadkami, mianowicie: w walce zacietrzewienia pseudo-politycy zatracają sam cel; racje idą na drugi plan, a na pierwszy występują namiętności.

My katolicy musimy podkreślać, że wielka. dobra, polityka nie może być niemoralna. Fałsz i gwałt mogą sprowadzić korzyści przemijające, lecz nie zapewnią nigdy powodzenia w grze politycznej. Triumfy niemoralnej polityki są nietrwałe.

Polityka t. zw. „machiawelistyczna" nie jest wielką polityką, nie potrzeba geniusza, aby ją praktykować. Łatwiej jest rządzić za pomocą wybiegów, niż za pomocą zasad — ale też takie „rządzenie" zawsze kończy się katastrofą. Nadto polityka fałszu w społeczeństwach nowoczesnych nie ma już racji bytu. Zbyt potężnie przelewają się dziś fale kryzysu nowoczesnego życia, zbyt żywiołowe dokonują się przemiany, aby można było sprostać zadaniom dzisiejszego życia na arenie polityki za pomocą sprytu, sztuczek, okłamywania. **Wielkość wypadków zmusza do szczerości.**

Nadchodzą czasy, kiedy w tragicznych powikłaniach społecznych triumfować będzie coraz więcej polityka prostoty, siły moralnej, uczciwości, wielka polityka, o której mówi Pius XI, „polityka wyższego dobra dusz, polityka modlitwy Pańskiej, zmierzająca jedynie do urzeczywistnienia celu chrześcijańskiego: Adveniat regnum tuum — przyjdź królestwo twoje!"

Z obcej niwy

Papiestwo i Wschód

Jednym z najprzykrzejszych zjawisk, które wierzący chrześcijanin dostrzega patrząc na życie religijne, jest jego rozbicie. Zaczęło się ono już w okresie wielkich herezyj (n. p. ariańskiej, w. IV). Najboleśniejszym jednak było oderwanie się Kościoła wschodniego za patriarchy Focjusza (w. IX) i Cerulariusza (w. XI). Wiek 16., t. zw. „reformacji", przyniósł dalsze straty Kościołowi powszechnemu, przez powstanie nowych wyznań, protestanckich.

Nie dziw więc, że myśl o zjednoczeniu chrześcijan w jednym Kościele jest ciągle żywą i stanowi przedmiot badań. M. in. ciekawe są studia dotyczące różnic dogmatycznych między Kościołem katolickim, a schizmą wschodnią. Ustąpiły na dalszy plan takie różnice, jak w sprawie pochodzenia Ducha Św. od Ojca i Syna („Filioque" w nauce Kościoła katol.), czy tylko od Ojca (cerkwie wschodnie). Na pierwszy plan wysuwa się sprawa papiestwa, t. j. jego prymatu (najwyższej władzy w całym Kościele) i nieomylności w rzeczach wiary i obyczajów.

Pojawiło się we Włoszech świeżo studium Ks. P. Santini p. t.: „Il primato e l' infallibita del Romano Pontifice al S. Leone Magno e gli scrittori greco-russi" (Prymat i nieomylność biskupa rzymskiego u św. Leona W. i pisarzy grecko-ruskich), Grotta Ferrata, 1936, 112 str... Książka wywołała olbrzymie wrażenie. Autor stwierdza na podstawie bogatej literatury wschodniej, że nie tylko papież Leon I. Wielki czczony przez cały Wschód, ale i starzy pisarze chrześcijańscy Wschodu uznawali prymat papieski i nieomylność biskupa rzymskiego... Wstęp do tej książki napisał wybitny teolog i znawca teologii wschodniej, Ks. prof. M. Jugie. Warto zacytować z niej następujący ustęp:

Kościół grecko-ruski znajduje się wobec historii pierwszych 8. wieków w sytuacji zupełnie niemożliwej. Z jednej strony przyjmuje całą tradycję pierwszych ośmiu wieków i sam mianuje się często „Kościołem siedmiu pierwszych soborów", uznaje wielkich doktorów dawnego Kościoła tak łacińskich jak greckich, wielbi w swojej liturgii pamięć wielkich papieży, jak Leona Wielkiego, Grzegorza Wielkiego i Marcina I, oddając im cześć jako godnym następcom Piotra i filarom ortodoksji. Z drugiej zaś strony odrzuca jako herezje liczne wielkie prawdy, które ci doktorowie i ci papieże uroczyście głosili w swoich pismach, lub uroczyście ogłaszali na soborach n. p. prymat i nieomylność biskupów rzymskich, następców Piotra Apostoła.

Jakże pogodzić te dwie sprzeczne ze sobą podstawy. Logika nie może tego zdziałać i słowa: „brak związku" cisną nam się na usta.

Wybrałeś, Księże, wśród tysięcy typowy przypadek, by wykazać ten właśnie brak związku... W połowie V wieku jaśnieje nad chrześcijaństwem niczem gwiazda wspaniała, sława wielkiego Papieża Leona I. Jego teza o unii hypostatycznej w Chrystusie przyjęta była na soborze w Chalecdonie jako wyraz doktryny Kościoła powszechnego, a jego samego proklamowano tam jako następcę Piotra, przez którego usta „sam Piotr przemówił". Postać tego Papieża od tego czasu jest głęboko osadzona w pamięci członków Wschodniego Kościoła. Jeszcze dzisiaj można czytać wspaniałe pochwały, które nawet w obecnych czasach oddaje mu liturgia bizantyńska.

Otóż o jednej sprawie ważnej, — w sprawie, która stanowi obecnie jedyną naprawdę trudność między Kościołem katolickim a Kościołem grecko-ruskim t. j. o sprawie prymatu i nieomylności papieża mówił ten wielki papież z naciskiem tak, jak mówią o tym katolicy obecnych czasów, jak mówi Pius XI, i jak w r. 1870 orzekł o tym sobór watykański tak wyszydzany przez ówczesnych przeciwników Kościoła katolickiego na Bliskim Wschodzie.

Długi, ale najważniejszy z dzieła Twojego, Księże, rozdział IV pokazuje, niestety, że chmury nagromadzone przez wiekowe przesądy mogą przesłonić niektórym oczom światło rzeczywistości, a co najwyżej, pozwolą zaledwie paru promieniom na dotarcie do nich. Jest to ciekawe, a zarazem smutne zjawisko, ten rozwój opinij sprzecznych między sobą tak co do doktryny Św. Leona, jak i co do jego działalności jako zwierzchnika Kościoła powszechnego. Opinij pochodzących od przedstawicieli przecież jednego Kościoła Wschodu! Jaka mieszanina prawdy i błędu, wyznania i przemilczania, — przemilczania, które nie zawsze jest dobrowolne, ale często narzucone przez drakońską cenzurę rosyjskich carów!

Nie trzeba jednak nigdy wątpić w naturę ludzką. Wszędzie istnieją dusze prawe i szczere. Jest ich więcej, niż by się zdawało. A to, czego im brakuje, to najczęściej tylko brak znajomości prawdy i czasu lub odwagi do myślenia.

Rozdział V książki Księdza poświęcony wielkiemu Włodzimierzowi Sołowiewowi świadczy, że są na Wschodzie ludzie zdolni do pokonywania uprzedzeń i powrotu do Matki-Kościoła".

— 0-0-0 —